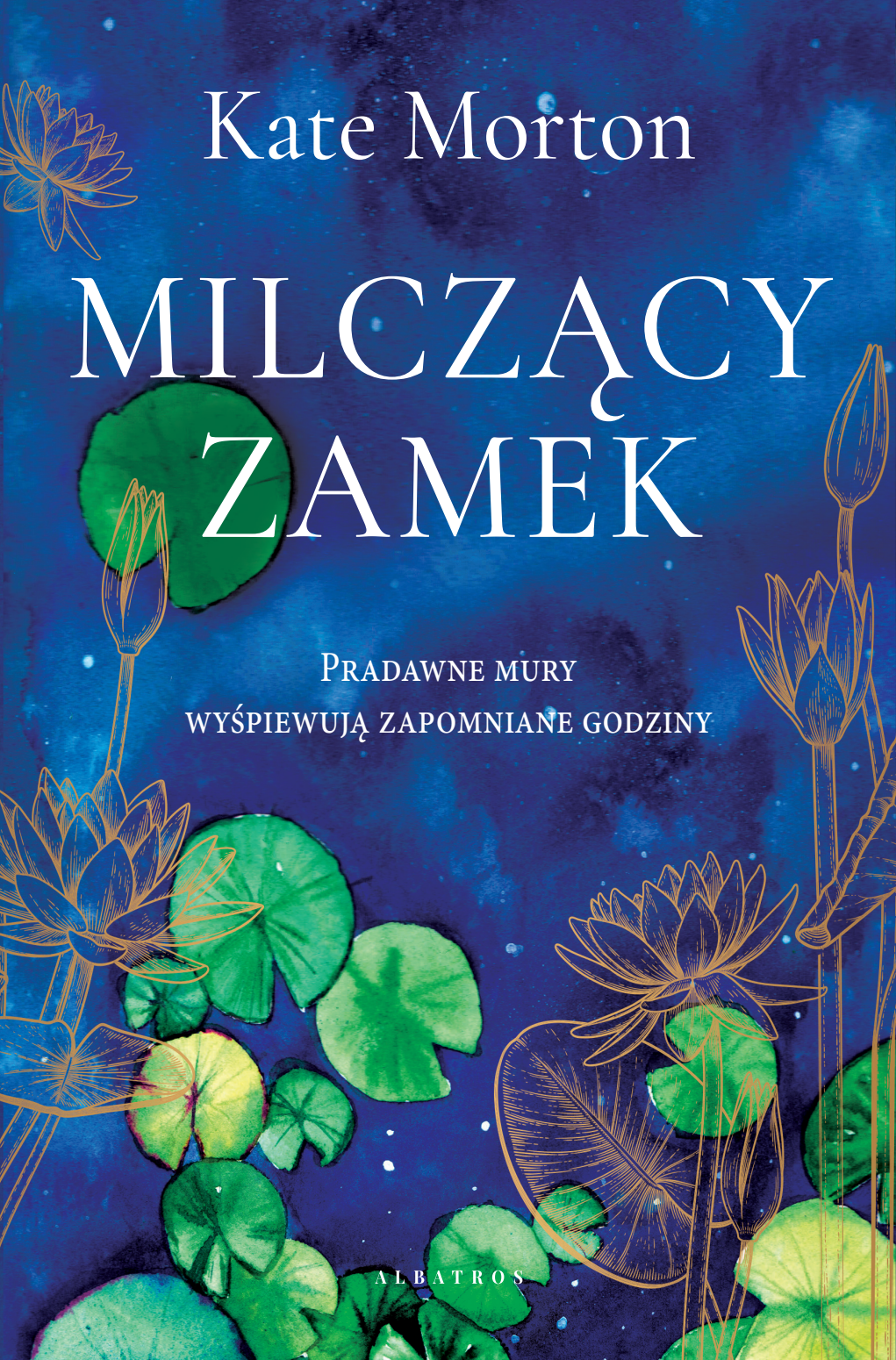




Kate Morton

MILCZĄCY ZAMEK

PRADAWNE MURY
WYŚPIEUJĄ ZAPOMNIANE GODZINY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE DISTANT HOURS

Copyright © Kate Morton 2010
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2011

Redakcja: Ewa Pawłowska

Ilustracje na okładce:
farfalla813/Shutterstock.com (*tłó*), R.Wilairat/Shutterstock.com (*nenufary*)

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Ćśś... Słyszycie go?

Drzewa słyszą. One pierwsze wiedzą, że się zbliża.

Słuchajcie! Drzewa w głębokim, ciemnym lesie drżą i potrzęsają liśćmi niczym cieniutkimi płatkami srebra; wiatr przekrada się między czubkami koron i szepcze, że coś się wydarzy.

Drzewa wiedzą, ponieważ są stare i wszystko to już widziały.



Bezksiężycowa noc.

Człowiek z Błota przychodzi, gdy księżyc się ukrywa. Noc naciągnęła na dłonie skórzane rękawiczki, strząsnęła na ziemię czarny całun – to podstęp, przebranie, senne zaklęcie, aby wszystko usnęło smacznie pod jej okryciem.

Lecz ciemność nie jest nieprzenikniona, każda rzecz ma swoje niuanse, natężenie, fakturę. Spójrzcie tylko na szorstkie, wełniste lasy, pikowane płachty pól, gładką melasę fosy. Jeśli jednak macie choć odrobinę szczęścia, nie zauważycie, że coś się poruszyło w mule, gdzie ziemia powinna leżeć niewzruszona. Macie szczęście, ponieważ nikt, kto widział przebudzenie Człowieka z Błota, nie dostaje szansy, by opowiedzieć jego historię.

Tam, widzicie? Lśniaca błotnista fosa przestała być gładka i równa. Na rozległej, płaskiej powierzchni tworzy się bąbel, jakby mokrądo wydało westchnienie, na wszystkie strony rozbiegają się drżące zmarszczki, aluzja...

Lecz wy odwróciliście wzrok! I postąpiliście mądrze, to nie jest widok dla takich jak wy. Przeniesiemy się teraz do zamku, ponieważ tam również coś się poruszyło.

Wysoko na wieży.

Obserwujcie uważnie, a zobaczycie.

Dziewczynka zrzuca z siebie kołdrę.

Położono ją do łóżka kilka godzin temu. W sąsiedniej komnacie pochrapuje cicho jej opiekunka; śnią jej się lilie i mydło, i wysokie szklanki ciepłego świeżego mleka. Lecz dziewczynkę coś obudziło. Podnosi się cichutko, przesuwając po czystym białym prześcieradle, spuszcza dwie blade, szczupłe łydki na drewnianą podłogę.

Na niebie nie ma księżycy, którego blask rozświetlałby świat za murami zamku, mimo to coś ją przyciąga do okna. Chropowata szyba jest zimna. Dziewczynka czuje migotanie powietrza oszronionego ciemnością, wdrapuje się na szafkę z książkami, siada nad rzędami porzuconych dziecięcych bajek, ofiar jej pospiesznego dojrzwiania. Owija sobie blade nogi koszulą i opiera brodę w zagłębieniu między złączonymi kolanami.

Gdzieś tam daleko jest świat, ludzie kręcą się jak nakręcane figurynki.

Pewnego dnia, całkiem niedługo, dziewczynka zamierza zobaczyć to wszystko na własne oczy, bo chociaż wszystkie drzwi w zamku są pozamykane na klucz i wszystkie okna zakratowane, to przecież mają one za zadanie chronić mieszkańców przed tamtym, a nie więzić ją w środku.

Przed tamtym.

Słyszała o nim historie. On sam jest historią, tak samo jak kraty i zamki, pozostałością dawnych czasów, gdy ludzie wierzyli w takie rzeczy. Opowieści o potworach czających się w fosie i czyhających na piękne dziewice. O człowieku, któremu dawno temu wyrządzono krzywdę i który pała żądzą zemsty.

Jednak dziewczynka – zmarszczyłaby brwi, słysząc, że ktoś ją tak nazywa – nie wierzy już w bajki o potworach. Niecierpliwi się. Jest nowoczesna, dorosła i pragnie się wyrwać na wolność. Ten pokój i zamek już jej nie wystarczają, ale na razie to wszystko, co ma, dlatego wygląda ponuro przez okno.

W oddali, w zmarszczce między plisami wzgórz, leży

miasteczko pogrążone we śnie. Ostatni wieczorny pociąg głuchym gwizdem oznajmia swoje przybycie; samotne wołanie pozostaje bez odpowiedzi i zawiadowca w sztywnej czapce człapie, aby podnieść semafor. W pobliskim lesie kłusownik składa się do strzału, lecz marzy o powrocie do domu, do ciepłego łóżka. Na obrzeżach miasteczka, w chacie, gdzie farba obłazi ze ścian, płacze nowo narodzone dziecko.

Oto najzwyklejsze wydarzenia w świecie, gdzie wszystko ma sens, gdzie ludzie widzą tylko rzeczy, które istnieją, a tych, których nie ma, nikt nie zauważa. Jakże inny to świat od tego, w którym zbudziła się dziewczynka.

Pod oknem pokoiku w wieży, znacznie bliżej, niż chciała sięgnąć wzrokiem, coś się bowiem zaczyna dziać.



Fosa zaczyna oddychać. Głęboko w bagnisku drga serce pogrzebanego mężczyzny. Z mulistej toni dobywa się cichy dźwięk, niczym zawodzenie wiatru, i unosi się wyczekująco nad powierzchnią. Dziewczynka słyszy to drganie, a raczej czuje, albowiem fundamenty zamku są wtopione w błoto i jęk przesącza się przez kamień, a potem pełźnie po ścianach, piętro po piętrze, niewyczuwalnie, przez książki, na których siedzi. Ulubiona bajka z dzieciństwa spada na podłogę, dziewczynka wstrzymuje oddech.

Człowiek z Błota unosi powiekę. Gwałtownie rzuca okiem na wszystkie strony. Czy w tamtej chwili wspomina utraconą rodzinę? Śliczną, drobniutką żonkę i dwoje pulchnych niemowląt, które zostawił? A może jego myśli cofają się jeszcze dalej w przeszłość, do czasów chłopięcych, gdy biegnie z bratem przez pola porośnięte długimi, jasnymi łądygami; a może krąży myślami wokół innej kobiety, która go kochała przed śmiercią, której czułości i pochlebstwa kosztowały go tak dużo, która nie pogodziła się z odtrąceniem.



Coś się zmienia, dziewczynka wyczuwa to i drży. Przyciska dłoń do zamarzniętego okna i pozostawia na szybie gwiazdzisty odcisk. Nastaje godzina duchów, chociaż ona o tym nie wie i nie umie jej

nazwać. Nikt jej już nie pomoże. Pociąg odjechał, kłusownik leży u boku żony, nawet noworodek zasnął, zrezygnowawszy z prób zakomunikowania światu swojej obecności. Dziewczę w wieży jest jedyną osobą w zamku świadomą tego, co się dzieje; jej opiekunka przestała chrapać i oddycha teraz tak leciutko, jakby zamarła. Ptaki w lesie wokół zamku również ucichły, wcisnęły łebki pod drżące skrzydła i zamknęły oczy na to, co ma nastąpić.

Dziewczynka jest sama, a w błocie budzi się mężczyzna. Jego serce łomocze szaleńczo, ponieważ nadszedł jego czas i nie potrafi długo. Obraca nadgarstki, stopy i powstaje z mulistego łoża.

Nie patrzcie, błagam, odwróćcie wzrok, kiedy wyłania się na powierzchnię, kiedy wygrzebuje się z fosy, kiedy staje na rozmokłym czarnym brzegu, unosi ręce i wciąga w piersi powietrze. Przypomina sobie, jakie to uczucie oddychać, kochać i cierpieć.

Lepiej popatrzcie na burzowe chmury, nawet w ciemności widać, jak nadciągają. Przetaczają się gniewnym grzmotem, zaciskają pięści, biją piorunami i gromadzą się nad wieżą. Czy to Człowiek z Błota sprowadził burzę, czy to burza go wskrzesiła? Nikt nie wie.

W pokoiku na wieży dziewczyna przechyliła głowę na bok, kiedy pierwsze, niechętnie krople deszczu rozpryskują się na szybie i spotykają jej dłoń. Dzień był ładny, lecz nie upalny, wieczór przyjemny i chłodny. Rankiem ludzie ze zdziwieniem zobaczą rozmokłą ziemię. Podrapią się po głowie, uśmiechną do siebie i powiedzą:

– Coś takiego! I pomyśleć, że wszystko przespaliśmy.

Lecz patrzcie! Jakiś kształt pełźnie po murze wieży. Wspina się niewiarygodnie szybko i zręcznie. Żaden człowiek tego nie potrafi.

Podchodzi pod okno dziewczynki. Zastygli twarzą w twarz. Ona przez zalaną strumieniami szybę, przez zasłoną deszczu widzi oklejonego błotem potwora. Otwiera usta, aby krzyknąć, by wezwać pomocy, lecz wtedy coś się zmienia.

Na jej oczach potwór się przeistacza. Spod warstw mułu, mroku, gniewu i rozpaczyny wyłania się twarz młodego mężczyzny. Zapomniana twarz, pełna tęsknoty, smutku i piękna. Dziewczynka bez namysłu wyciąga rękę, aby otworzyć okno, aby wpuścić go do pokoju.

Raymond Blythe, *Prawdziwa historia Człowieka z Błota*, Prolog.

Zaginiony list odnajduje drogę

1992

Zaczął się od listu, który zaginął dawno temu i czekał pół wieku w torbie z niedoręczoną korespondencją na ciemnym strychu w Bermondsey. Czasami rozmyślałam o tych setkach listów miłosnych, rachunków sklepowych, kart urodzinowych i pocztówek, wzdychających i pęczniejących od nieprzekazanych wiadomości, które szeptały do siebie w ciemnościach, czekając, aż je ktoś odkryje. Powiadają, że list pragnie odnaleźć swojego adresata i prędzej czy później, czy się tego chce, czy nie, napisane słowa zawsze znajdą drogę, aby ujrzeć światło, aby ujawnić światu swoje sekrety.

Wybaczcie mi, jestem romantyczką. To skutek długich lat ślęczenia przy latarce nad dziewiętnastowiecznymi powieściami, kiedy rodzice myśleli, że śpię. Chcę powiedzieć, że to dziwne: gdyby Arthur Tyrell był nieco bardziej odpowiedzialnym człowiekiem i w Wigilię 1941 roku nie wypił o jedną szklankę grogu za dużo, po czym zamiast dokończyć roznoszenie poczty, nie wrócił do domu i nie zasnął pijackim snem, gdyby torba z niedoręczoną korespondencją nie wylądowała wciśnięta na strychu, ukryta starannie aż do jego śmierci pięćdziesiąt lat później, kiedy jedna z córek listonosza wygrzebała ją ze sterty rupieci i zadzwoniła do „Daily Mail”, wszystko potoczyłoby się inaczej. Dla mojej mamy, dla mnie, a zwłaszcza dla Juniper Blythe.

Być może czytaliście o tej historii w gazetach, dużo o niej pisano. Kanał 4 nadał nawet w telewizji program specjalny, w którym zaproszeni adresaci opowiadali o tych osobliwych głosach z

przeszłości. Pewna kobieta dostała list od ukochanego, który służył w RAF-ie; jakiś mężczyzna pokazywał kartkę urodzinową od syna ewakuowanego na początku wojny z Londynu. Tydzień później chłopiec zginął od szrapnela. Myślałam sobie wtedy, że to bardzo dobry program, chwilami poruszający, pełen zarówno szczęśliwych, jak i smutnych historii przeplatanych archiwalnym materiałem filmowym z czasu wojny. Kilka razy się rozplakałam, ale to o niczym nie świadczy, bo ja z natury łatwo się wzruszam.

Mama nie wzięła udziału w programie. Zadzwonili do niej producenci i pytali, czy jej list zawierał coś szczególnego, czym chciałaby się podzielić z innymi ludźmi; odparła, że nie, że to było zwykłe zamówienie ze sklepu z odzieżą, który od dawna nie istnieje. Skłamała. Wiem, ponieważ byłam przy niej, kiedy przyszedł list, widziałam jej reakcję i z całą pewnością nie nazwałabym jej zwyczajną.

Wydarzyło się to rankiem pod koniec lutego, zima trzymała nas mocno za gardło, rabaty ściał lód. Przyjechałam do rodziców i pomagałam w przygotowaniu niedzielного obiadu. Często to robię, ponieważ sprawia to im przyjemność, chociaż jestem wegetarianką i wiem, że prędzej czy później podczas posiłku mama zacznie się najpierw niepokoić, stopniowo na jej twarzy odmaluje się udręka, aż wreszcie nie wytrzyma i z jej ust posypie się litania danych statystycznych na temat niedoborów białka i związanej z tym anemii.

Obierałam ziemniaki w zlewie, kiedy list wpadł przez szczelinę w drzwiach. W niedzielę nie przychodzi poczta, więc powinno mi to dać do myślenia, byłam jednak zbyt pochłonięta zastanawianiem się, jak powiedzieć rodzicom, że rozeszliśmy się z Jamiem. Minęły już dwa miesiące i musiałam im to w końcu jakoś zakomunikować, lecz im dłużej zwlekałam z wykrztuszeniem tego, tym bardziej słowa kosztowały mi w ustach. A miałam powody, żeby milczeć. Rodzice od początku byli wobec Jamiego nieufni, poza tym źle znosili wstrząsy i mama denerwowałaby się jeszcze bardziej niż zwykle, gdyby się dowiedziała, że mieszkam sama. Najbardziej jednak odstręczała mnie myśl o niezręcznej rozmowie, która nieuchronnie nastąpi później. Zobaczyć na twarzy mamy w pierwszej chwili zaskoczenie, potem konsternację, wreszcie rezygnację, która nastąpi, gdy tylko

sobie uświadomi, że rola matki wymaga od niej pocieszania... Wróćmy jednak do listu. Przy drzwiach rozległ się cichy szelest wpadającej koperty.

– Edie, możesz to przynieść?

To była moja matka. (Edie to ja, przepraszam, powinnam była przedstawić się wcześniej). Wskazała głową przedpokój i machnęła ręką, która nie tkwiła w brzuchu kurczaka.

Odłożyłam ziemniaka, wytarłam dłonie w ścierkę i wyszłam do holu. Tylko jeden list leżał na wycieracze: firmowa koperta poczty z adnotacją: *Zaginiona korespondencja*. Wchodząc do kuchni, przeczytałam mamie tę informację. Skończyła już nadziewać kurczaka i właśnie wycierała ręce. Zmarszczyła czoło, raczej odruchowo, bo nie spodziewała się niczego konkretnego, wzięła ode mnie list i zdjęła okulary do czytania z ananasa leżącego w misie z owocami. Rzuciła okiem na urzędową informację na wierzchu i wzniosłszy przelotnie brwi, zaczęła otwierać kopertę.

Wróciłam do ziemniaków, co było bardziej absorbującą czynnością niż obserwowanie, jak mama otwiera korespondencję, tak więc z przykrością muszę powiedzieć, że nie widziałam wyrazu jej twarzy, kiedy wyjąwszy ze środka mniejszą kopertę, zobaczyła cienki, tani papier i stary stempel, kiedy odwróciła list i przeczytała nazwisko na odwrocie. Wyobrażałam to sobie wielokrotnie – jak kolory odpływają jej z policzków, palce zaczynają drżeć tak gwałtownie, że minęło kilka minut, nim zdołała rozciąć mniejszą kopertę.

Nie muszę sobie natomiast wyobrażać gardłowego odgłosu raptownie wciąganego powietrza, po którym nastąpiła seria chrypliwych szlochów. Zabrzmiały w kuchni tak przeraźliwie i niesamowicie, że ręka mi drgnęła i skaleczyłam się w palec.

– Co się stało, mamo?

Podeszłam do niej i objęłam ją ramieniem, uważając, aby nie poplamić jej sukienki krwią. Nie odpowiedziała. Później wyjaśniła, że w tamtej chwili nie potrafiła wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Zesztywniała, po policzkach ciekły jej łzy, w dłoniach ścisnęła tę dziwną, malutką kopertę z tak cienkiego papieru, że prześwitywał przez nią róg złożonego listu, który przytulała mocno do piersi. Potem, rzuciwszy mi przez ramię kilka urywanych instrukcji

dotyczących kurczaka, kuchenki i ziemniaków, znikła w swojej sypialni na piętrze.

W kuchni zapadła obolała cisza. Poruszałam się powoli i bardzo ostrożnie, aby jej nie zmącić. Moja mama nie należy do płaczek, lecz ten moment – jej rozpacz i wstrząs – wydawał mi się dziwnie znajomy, jakbyśmy już raz to przeżywały. Piętnaście minut później, w trakcie których próbowałam na przemian obierać ziemniaki, odgadywać, od kogo pochodzi list, i zastanawiać się, co powinnam zrobić, zapukałam wreszcie do jej pokoju i spytałam, czy chce się napić herbaty.

Jakoś zdołała się pozbierać, usiadłyśmy naprzeciwko siebie przy małym stoliku w kuchni. Podczas gdy ja udawałam, że nie zauważam jej zapłakanych oczu, ona zaczęła opowiadać, co zawierała koperta.

– To list – zaczęła – od kogoś, kogo znałam dawno temu. Miałam wtedy dwanaście, trzynaście lat.

Przypomniła mi się fotografia stojąca na stoliku nocnym przy łóżku mojej umierającej babki. W mglistym wspomnieniu zobaczyłam trójkę dzieci, z których najmłodsza była moja mama – dziewczynka z krótkimi, ciemnymi włosami, siedząca na pierwszym planie. Dziwne, odwiedzałam babcię w tym pokoju setki razy, a jednak nie potrafiłam odtworzyć w pamięci dokładnych rysów dziewczynki. Może dzieci nigdy nie interesują się, kim byli ich rodzice, zanim przyszły na świat, dopóki nie wydarzy się coś wyjątkowego, co wydobędzie przeszłość z mroku. Popijałam herbatę, czekając, aż mama zacznie mówić dalej.

– Nie wiem, czy opowiadałam ci o tamtych czasach, o drugiej wojnie światowej. Chyba niewiele, prawda? To był okres okropnego zamętu, tyle rzeczy legło w gruzach. Wydawało się... – westchnęła – wydawało się, że świat już nigdy nie będzie taki jak dawniej, jakby go wyrzucono z orbity i nic nie mogło przywrócić go na normalne tory.

Objęła dłońmi parujący kubek i zapatrzyła się do środka.

– Mieszkaliśmy... rodzice, Rita, Ed i ja, przy Barlow Street w Elephant and Castle. Wkrótce po wybuchu wojny wszystkie dzieci zebrano w szkolnych klasach, zaprowadzono nas prosto na stację kolejową i wsadzono do pociągów. Nigdy w życiu tego nie zapomnę: tłumy dzieciaków z tabliczkami, maskami gazowymi i tobołkami,

a na ulicach matki, które w ostatniej chwili zmieniły zdanie i biegły na stację, wołając do wartowników, żeby wypuszczono ich dzieci, potem do starszego rodzeństwa, żeby pilnowali młodszych braczków i siostrzyczek i nie puszczały ich z oka.

Przez chwilę siedziała, przygryzając dolną wargę, podczas gdy przed jej oczami rozgrywały się minione sceny.

– Musiałaś być przerażona.

Nie mieliśmy w rodzinie zwyczaju trzymania się za ręce, inaczej ścisnęłabym mocno jej dłoń.

– Z początku byłam.

Zdjęła okulary i potarła oczy. Jej twarz bez oprawek nabrała bezradnego, niedokończonego wyglądu przypominającego nocne zwierzę oszołomione światłem dziennym. Ucieszyłam się, kiedy włożyła z powrotem okulary i ciągnęła:

– Nigdy przedtem nie wyjeżdżałam z domu, nie spędziłam nawet nocy bez mamy, ale byli ze mną brat i siostra, oboje starsi ode mnie. W miarę jak upływała podróż, kiedy nauczyciel rozdał czekoladę, wszyscy poweselili i zaczęliśmy się czuć, jakbyśmy wyruszyli na przygodę. Wyobrażasz sobie? Wybuchła wojna, a my śpiewaliśmy piosenki, jedliśmy gruszki w syropie, wyglądaliśmy przez okno i graliśmy w dwadzieścia pytań. Dzieci potrafią być bardzo odporne, czasami wręcz bezduszne. Dojechaliśmy w końcu do miasteczka o nazwie Cranbrook, tam rozdzielono nas na grupy i wsadzono do różnych autobusów. Ten, w którym znaleźliśmy się z Ritą i Edem, zawiózł nas do Milderhurst. W ratuszu czekała tam na nas grupa miejscowych kobiet z uśmiechami przyklejonymi do twarzy, z listą nazwisk przywiezionych dzieci w rękach. Kazały się nam ustawić w rzędach, a ludzie chodzili wokół nas i wybierali. Najszybciej rozchodziły się maluchy, zwłaszcza te najładniejsze. Pewnie wszyscy uważali, że będzie z nimi najmniej roboty, że mają najmniej londyńskich nawyków.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Wkrótce dostali nauczkę. Mojego brata wybrano dosyć szybko. Był silny, wysoki jak na swój wiek, a chłopci rozpaczliwie szukali rąk do pracy. Niedługo potem poszła moja siostra, zabrała ze sobą koleżankę ze szkoły.

To była najwyższa pora. Położyłam dłoń na jej ręce.

– Tak mi przykro.

– Nie przejmuj się. – Wyciągnęła rękę i poklepała mnie po palcach. – Nie byłam ostatnia. Po mnie zostało jeszcze kilkoro innych dzieci, mały chłopiec z jakąś chorobą skóry. Nie wiem, co się z nim stało, ale kiedy wychodziłam, on dalej stał w ratuszku. Wiesz, przez wiele lat później zawsze kupowałam w warzywniaku obite owoce, jeśli akurat takie podeszły mi pod rękę w pierwszej chwili. Nie pozwalałam sobie na przebieranie i odkładanie gorszych, które mi się nie podobały.

– Ale w końcu ktoś cię wybrał.

– Tak, w końcu ktoś mnie wybrał. – Zniżyła głos i zaczęła bawić się czymś, co leżało jej na kolanach, tak że musiałam się pochylić, aby ją słyszeć. – Przyszła spóźniona, w sali było już prawie pusto, większość dzieci zabrano i kobiety z Żeńskiej Służby Ochotniczej sprzątały naczynia po podwieczorku. Zaczęłam popłakiwać, chociaż starałam się, żeby nikt tego nie widział. Wtedy nagle ona wkroczyła do sali i w powietrzu jakby zaszła zmiana.

– Zmiana? – Zmarszczyłam nos, bo wyobraziłam sobie scenę z *Carrie*, kiedy wybuchają światła.

– Trudno to wytłumaczyć. Spotkałaś kiedyś osobę, która sprawia wrażenie, jakby wszędzie wносиła swoją własną atmosferę?

Może. Wzruszyłam niepewnie ramionami. Za moją przyjaciółką Sarah wszyscy się oglądają, ale trudno to uznać za zjawisko atmosferyczne, z drugiej strony...

– Oczywiście, że nie. To brzmi głupio, tak naprawdę chciałam powiedzieć, że była inna niż wszyscy... nie wiem, jakby pod każdym względem była „bardziej”, owszem, na swój sposób piękna: z długimi włosami, wielkimi oczami, trochę dzikim spojrzeniem, ale nie to ją odróżniało od innych. Miała wtedy dopiero siedemnaście lat, lecz gdy wchodziła, inne kobiety jakby się przy niej kurczyły.

– Z szacunku?

– Tak, to dobre określenie. Z szacunku. Były zdziwione jej przybyciem i nie wiedziały, jak się zachować. W końcu któraś się odezwała, zapytała, czy może w czymś pomóc, a dziewczyna tylko machnęła długimi palcami i oznajmiła, że przyjechała po swoją ewakuantkę. Dokładnie tak się wyraziła: po „swoją” ewakuantkę. Podeszła prosto do miejsca, gdzie siedziałam na podłodze, i

zapytała, jak mam na imię, a kiedy odpowiedziałam, uśmiechnęła się i stwierdziła, że muszę być zmęczona po długiej podróży. Spytała, czy chcę z nią zamieszkać. Musiałam skinąć głową, bo odwróciła się do najważniejszej kobiety, która trzymała listę, i oświadczyła, że zabiera mnie z sobą.

– Jak się nazywała?

– Blythe – odrzekła mama, powstrzymując dreszcz. – Juniper Blythe.

– To od niej dostałaś ten list?

Mama skinęła głową.

– Zaprowadziła mnie do najelegantszego samochodu, jaki w życiu widziałam, i zawiozła do domu, gdzie mieszkała razem ze swymi starszymi siostrami bliźniaczkami. Minęłyśmy wielką żelazną bramę i pojechałyśmy długim, krętym podjazdem pod ogromny dom z kamienia otoczony gęstym lasem. Zamek Milderhurst.

Nazwa jakby żywcem wyjęta z powieści gotyckiej. Przeszedł mnie dreszcz, przypomniał mi się szloch, jaki wydarł się mamie z gardła, kiedy przeczytała na kopercie nazwisko nadawczyni. Nasłuchiwałam się mnóstwa opowieści o ewakuowanych dzieciach, najróżniejszych historii.

– Przeżyłaś tam koszmar?

– Och nie, nic z tych rzeczy. Wręcz przeciwnie.

– Ale ten list... kiedy go otworzyłaś...

– Byłam po prostu zaskoczona. Odżyły dawne wspomnienia.

Umilkła, a ja zaczęłam rozmyślać o potwornościach ewakuacji, o przerażających i niesamowitych przeżyciach dzieci, które znalazły się nagle w obcym miejscu, gdzie wszystko tak bardzo się różniło od tego, co znały. Miałam jeszcze świeżo w pamięci własne doświadczenia z dzieciństwa, strach i grozę odczuwane w każdej nowej, stresującej sytuacji, przyjaźnie „na siłę”, przywiązanie do miejsc, życzliwych dorosłych, znajomych – wszystko po to, by przetrwać. Kiedy sobie to wszystko przypominałam, coś mi przyszło do głowy.

– Byłaś tam kiedyś po wojnie? W Milderhurst?

Mama spojrzała na mnie surowo.

– Oczywiście, że nie. Po co miałabym tam wracać?

– Nie wiem, żeby je odwiedzić, dowiedzieć się, co u nich

słysząc.

– Nie – odparła stanowczo. Miałam w Londynie własną rodzinę, mama mnie potrzebowała, poza tym po wojnie było mnóstwo pracy. Potem poznałam twojego ojca. Prawdziwe życie toczyło się dalej.

Po tych słowach zapadła między nami znajoma kurtyna, wiedziałam, że rozmowa jest skończona.



W końcu nie upiekliśmy kurczaka. Mama powiedziała, że nie ma ochoty, i zapytała, czy będę jej miała za złe, jeśli w ten weekend z niego zrezygnujemy. Wydało mi się niegrzeczne przypominać jej, że i tak nie jadłam mięsa i przychodzę raczej ich odwiedzić, niż jeść z nimi obiad, powiedziałam więc tylko, że nic się nie stało i że powinna się położyć. Przyjęła moją propozycję i kiedy zbierałam swoje rzeczy, łyknęła już dwie tabletki paracetamolu i przypomniała mi, żebym osłaniała uszy przed wiatrem.

Tata, jak się okazało, przespał całe wydarzenie. Jest starszy od mamy i kilka miesięcy temu przeszedł na emeryturę, która mu nie służy, bo przez cały tydzień krąży po domu i szuka rzeczy do naprawienia lub sprzątnięcia, czym doprowadza mamę do szału. W niedzielę za to odpoczywa w swoim fotelu. Święte prawo pana domu, jak powtarza przy każdej okazji.

Pocałowałam go w policzek i wysłam na zimno. Ruszyłam w stronę metra, zmęczona i niespokojna, a także nieco przytłoczona tym, że wracam sama do nieludzką drogiego mieszkania, które jeszcze niedawno dzieliłam z Jamiem. Dopiero gdzieś między High Street Kensington i Notting Hill Gate uprzytomniłam sobie, że nie zapytałam mamy, co było w liście.

Odzyskane wspomnienie

Kiedy teraz to piszę, jestem sobą nieco rozczarowana, ale każdy jest mądry po szkodzie i łatwo się dziwić, dlaczego człowiek nie próbuje sięgnąć po coś, o czym dopiero później się dowiaduje, że leżało w zasięgu ręki. A nie jestem kompletną idiotką. Spotkałyśmy się z mamą na herbacie kilka dni później i chociaż znów nie udało mi się powiedzieć jej o moim rozstaniu z Jamiem, to nie omieszkalam zapytać ją o list. Zbyła moje pytanie machnięciem ręki, mówiąc, że nie zawierał nic ważnego, właściwie tylko pozdrowienia, a jej reakcja była skutkiem zaskoczenia, i tyle. Nie wiedziałam wtedy, że mama potrafi tak świetnie kłamać, inaczej nie odpuściłabym tak szybko, wypytywałabym dalej i zwróciła baczniejszą uwagę na mowę ciała. Zwykle jednak każdy odruchowo wierzy w to, co mówią ludzie, zwłaszcza bliscy, których dobrze zna i którym ufa. W każdym razie ja mam taki odruch, a właściwie miałam.

Na jakiś czas zapomniałam o zamku Milderhurst i ewakuacji mamy, a także o dość osobliwym fakcie, że nigdy dotąd nie wspominała mi o tym epizodzie ze swego życia. Łatwo było to sobie wytłumaczyć, jak większość rzeczy, jeśli się dobrze postarać. Moje stosunki z mamą zawsze należały do dobrych, chociaż nigdy nazbyt bliskich, i na pewno nigdy nie ucinaliśmy sobie szczerych pogawędek o przeszłości. Prawdę mówiąc, o teraźniejszości też nie. Wszystko wskazywało na to, że ewakuacja mamy była dla niej miłym przeżyciem, lecz nie zaliczała go do niezapomnianych i nie odczuwała potrzeby, aby się nim dzielić.

Nieco trudniej przyszło mi racjonalnie wytłumaczyć dziwne uczucie, jakie wzbudziła we mnie jej reakcja na spóźniony list. Odniosłam niejasne wrażenie, że gdzieś w mojej pamięci kołaczę się ważne wspomnienie, którego nie potrafię uchwycić. Coś, co dawno temu widziałam lub słyszałam, drgało na wpół zapomniane i nie chciało nawet na chwilę znieruchomieć, abym mogła je nazwać. Próbowałam sobie przypomnieć, czy nie przyszedł kiedyś jakiś inny list, wiele lat temu, który również wycisnął jej łzy z oczu – na próżno, nieuchwytny, gruboziarnisty obraz nie chciał się skryształizować, uznałam go więc w końcu za wytwór mojej nadpobudliwej wyobraźni, przed którą rodzice dawno mnie ostrzegali i która napyta mi kłopotów, jeśli nie będę ostrożna.

Miałam wtedy większe zmartwienia na głowie, na przykład: dokąd się wyprowadzę, kiedy minie sześć miesięcy, za które Jamie opłacił czynsz w formie podarunku na pożegnanie, przeprosin i rekompensaty za swój pożałowania godny postępек. Półroczny okres wypowiedzenia miał się skończyć w czerwcu. Przeglądałam gazety i strony agencji nieruchomości w poszukiwaniu jakiejś kawalerki, lecz za moją skromną pensję nie miałam szansy znaleźć niczego w pobliżu pracy.

Jestem redaktorką w wydawnictwie Billing & Brown Book Publishers. To mały, rodzinny interes w Notting Hill założony pod koniec lat czterdziestych przez Herberta Billinga i Michaela Browna, początkowo wyłącznie w celu publikowania ich własnych dramatów i poezji. W pierwszym okresie prosperowali całkiem nieźle, jednak z czasem, kiedy rynkiem zawładnęły większe wydawnictwa, a upodobanie czytelników do niszowych tytułów zanikło, nasza firma ograniczyła się do publikowania pozycji, które nazywamy z uprzejmości „specjalistycznymi”, oraz tych, które nieco mniej uprzejmie określamy mianem „próżnych”, czyli wydawanych na koszt autora. Pan Billing, Herbert, jest moim szefem, lecz także mentorem, orędownikiem i najbliższym przyjacielem. Nie mam ich wielu, w każdym razie żywych i oddychających. Nie mówię tego ze smutkiem, nie czuję się samotna, po prostu nie należę do osób, które kolekcjonują znajomych i kochają tłum. Umieć sobie radzić ze słowami, lecz nie mówionymi; nieraz rozmyślałam, jak to by było wspañiale, gdybym mogła utrzymywać związki na papierze.

Podejrzewam zresztą, że na swój sposób to właśnie robię, ponieważ mam setki przyjaciół innego rodzaju – ukrytych między okładkami, w fabułach rozwijających się cudownie strona po stronie, którzy zawsze z taką samą radością biorą mnie za rękę i prowadzą w świat grozy lub zachłannego zachwytu. Fascynujący, szczerzy towarzysze, na których zawsze można polegać. Wielu z nich chętnie służy dobrą radą, niestety, żaden nie zajmie wolnej sypialni na kilka miesięcy.

Bo choć nie miałam wielkiego doświadczenia w zrywaniu związków – Jamie był moim pierwszym prawdziwym chłopakiem, z którym wiązałam plany na przyszłość – domyślałam się, że w moim życiu nadszedł właśnie stosowny moment, by odwołać się do pomocy przyjaciół. Od razu pomyślałam o Sarah. W czasach szkolnych mieszkaliśmy po sąsiedzku, tak więc Sarah znajdowała u nas drugi dom, ilekroć czwórka jej młodszego rodzeństwa zaczynała wyprawiać dzikie harce i moja przyjaciółka potrzebowała schronienia. Schlebiało mi, że ktoś taki jak ona uważał dość tradycyjalistyczny podmiejski dom moich rodziców za azyl, przyjaźniłyśmy się więc przez całe liceum aż do czasu, gdy przyłapano ją na paleniu papierosów w toalecie o jeden raz za dużo i Sarah zamieniła lekcje matematyki na szkołę piękności. Pracuje teraz jako wolny strzelec dla czasopism i wytwórni filmowych. Odniosła wspaniałe sukcesy, który oznaczał, niestety, że w godzinie mojej potrzeby zamieniała właśnie hollywoodzkich aktorów w zombie, a swoje mieszkanie z wolnymi pokojami wynajęła australijskiemu architektowi.

Gorączkowałam się przez jakiś czas, wyobrażając sobie życie, które przyjdzie mi wieść bez dachu nad głową, dopóki w pięknym akcie rycerskości Herbert nie zaoferował mi sofy w swoim małym mieszkanku pod wydawnictwem.

– Żartujesz? Po tym, co dla mnie zrobiłaś? – odpowiedział, kiedy go zapytałam, czy jest tego pewien. – Podźwignęłaś mnie z upadku. Uratowałaś mi życie.

Przesadzał. Nigdy nie uratowałam mu życia, ale wiedziałam, co ma na myśli. Pracowałam u nich od kilku lat i rozglądałam się właśnie za jakimś ambitniejszym stanowiskiem, kiedy pan Brown odszedł z tego świata. Herbert tak ciężko przeżył śmierć partnera, że nie mogłam go w tamtym momencie opuścić. Nie miał nikogo poza małym grubym psem przypominającym prosiaka i choć

nigdy tego nie powiedział, jego głęboka rozpacz utwierdziła mnie w przekonaniu, że on i pan Brown byli dla siebie kimś więcej niż partnerami w interesach. Nie chciał jeść, przestał się myć, a któregoś ranka spił się na umór ginem, chociaż zasadniczo jest abstynentem.

Czułam, że nie mam wyboru, zaczęłam mu gotować, skonfiskowałam gin, a kiedy wyniki firmy poleciały na łeb na szyję, on zaś nie wykazywał tym faktem najmniejszego zainteresowania, wzięłam sprawy w swoje ręce i zapukałam do kilku drzwi, aby znaleźć nam pracę. Postanowiłam drukować ulotki dla okolicznych firm. Herbert był mi tak wdzięczny, kiedy się o tym dowiedział, że całkiem przecenił moje motywacje. Nazwał mnie swoją protegowaną i znów zaczął snuć plany na przyszłość dla Billing & Brown – że we dwójkę odbudujemy firmę ku czci pana Browna. Oczy mu znów zabłyśły, a ja odłożyłam na jakiś czas myśl o zmianie pracy.

I tak osiem lat później nadal siedzę w Billing & Brown, ku wielkiej dezaprobach Sarah. Trudno wytłumaczyć rzutkiej, inteligentnej osobie, która nie robi niczego, co nie dzieje się na jej warunkach, że niektórym z nas inne rzeczy sprawiają w życiu satysfakcję. Pracuję z ludźmi, których podziwiam, zarabiam wystarczająco, aby się utrzymać (choć może nie w trzypokojowym apartamencie w Notting Hill), spędzam dnie, bawiąc się słowami i pomagając ludziom wyrazić swoje myśli i spełnić marzenia o publikacji własnych książek. Poza tym moja praca wcale nie jest pozbawiona perspektyw. W zeszłym roku Herbert awansował mnie na wiceprezesa. Nieważne, że w firmie pracują na pełny etat tylko dwie osoby. Zorganizowaliśmy małą uroczystość. Susan, nasza młoda pracownica na pół etatu, upiekła biszkopt i przyszła do biura mimo wolnego dnia; we trójkę piliśmy wino bezalkoholowe w filiżankach do herbaty.

W obliczu nadciągającej eksmisji z wdzięcznością przyjąłm sofę, którą zaoferował mi Herbert, to był naprawdę wzruszający gest, zwłaszcza biorąc pod uwagę rozmiary jego mieszkania. Poza tym nie miałam wyjścia, a on był bardzo zadowolony.

– Wspaniale, Jess uwielbia gości. Będzie zachwycona.

Tak więc w maju zaczęłam się przygotowywać do opuszczenia mieszkania, w którym żyliśmy z Jamiem, przewrócenia ostatniej, pustej karty naszej wspólnej historii i rozpoczęcia swojej własnej.

Miałam pracę, zdrowie i mnóstwo książek, potrzebowałam tylko odwagi, aby stawić czoło szarym, samotnym dniom, które ciągnęły się przede mną w nieskończoność.

Biorąc wszystko pod uwagę, uważam, że radziłam sobie całkiem nieźle. Tylko sporadycznie pozwalałam sobie wpadać w otchłan cikliwych wytworów własnej wyobraźni. Znajdowałam sobie wtedy cichy, ciemny kąt i oddawałam się fantazjom, wyobrażając sobie ze szczegółami, jak w nieokreślonej przyszłości idę ulicą, podnoszę wzrok na okno, gdzie uprawiam zioła, i widzę w szybie zarysy czyjejs sylwetki.

Dostrzegać mglistą barierę oddzielającą przeszłość od teraźniejszości i znać dotkliwy fizyczny ból spowodowany niemożnością obejrzenia się wstecz...



Jako dziecko byłam niepoprawną marzycielką, czym przyprowadzałam moją biedną mamę o nieustanną frustrację. Wpadała w rozpacz, kiedy wchodziłam w sam środek błotnistej kałuży albo trzeba mnie było wyciągać prawie spod kół pędzącego autobusu. W kółko powtarzała: „To niebezpieczne gubić się we własnej głowie” albo: „Jeśli człowiek nie patrzy, co się wokół niego dzieje, przydarzają mu się różne wypadki, Edie. Musisz bardziej uważać”.

Łatwo jej było mówić, po ziemi nigdy nie stąpała rozsądniejsza i praktyczniejsza kobieta od mojej matki. Co innego dziewczynka, która odkąd sięgała pamięcią, żyła głównie we własnej głowie i dumiała: „A gdyby tak...?”. Oczywiście z czasem wcale nie przestałam oddawać się marzeniom, nauczyłam się tylko lepiej to ukrywać przed światem. Ale mama miała rację, ponieważ właśnie dlatego, że tak bardzo pochłaniało mnie przewidywanie swej ponurej postjamiestowskiej przyszłości, byłam zupełnie nieprzygotowana na to, co miało nastąpić.

Pod koniec maja zadzwonił do nas spirytysta, który pragnął opublikować swoje relacje ze spotkań z istotami pozaziemskimi na Romney Marsh. Kiedy zwraca się do nas obiecujący autor, robimy co w naszej mocy, aby go zadowolić. Z tego właśnie powodu kilka dni później jechałam starym peugeotem Herberta do hrabstwa Kent, aby porozmawiać, a kto wie, może i poflirtować z naszym nowym

potencjalnym klientem. Rzadko jeżdżę samochodem i nie znoszę zatłoczonych autostrad, tak więc wyruszyłam o bladym świetle, licząc, że zwiększy to moje szanse na wydostanie się z Londynu bez szwanku.

Dotarłam na miejsce przed dziewiątą, spotkanie wypadło bardzo zadowalająco, poflirtowałam, podpisałam umowę i nim minęło południe, jechałam z powrotem do Londynu. Ruch na drodze się wzmógł, do czego samochód Herberta, niezdolny rozwinąć prędkości większej niż osiemdziesiąt kilometrów na godzinę bez poważnego ryzyka utraty kół, był całkowicie nieprzystosowany. Zjechałam na lewy pas, mimo to nie udało mi się uniknąć zniecierpliwionych klaksonów i potrząsania głową. Źle robi się człowiekowi na duszy, kiedy wszyscy dookoła uznają go za utrapienie, zwłaszcza jeśli nic nie może na to poradzić, zjechałam więc z autostrady w Ashford i ruszyłam w kierunku Londynu bocznymi drogami. Mam beznadziejną orientację w terenie, lecz w skrytce samochodowej znalazłam atlas i zatrzymywałam się co jakiś czas, aby sprawdzać drogę.

Pół godziny później musiałam uznać, że zablądziłam na dobre. Do tej pory nie wiem, jak to się stało; podejrzewam, że odpowiedzialność za to ponosiła przestarzała mapa, a także fakt, że zamiast zwracać uwagę na drogę, rozkoszowałam się widokiem łąk upstrzonych wielobarwnymi pierwiosnkami i kwiatów polnych ozdabiających przydrożne rowy. Wkrótce straciłam do reszty rozeznanie, gdzie się właściwie znajduję, i jadąc wąską drogą, nad którą pochylały się wielkie, rosochate drzewa, stwierdziłam, że nie mam pojęcia, czy kieruję się na północ, południe, wschód czy zachód.

Nie przejęłam się tym zanadto. Uznałam, że jadąc cały czas prosto, prędzej czy później dotrę do jakiegoś skrzyżowania lub drogowskazu, a może napotkam przydrożny stragan, gdzie życzliwa dusza narysuje mi na mapie czerwony krzyżyk. Nie musiałam wracać tego dnia do biura, a drogi nie ciągną się przecież w nieskończoność. Wystarczy, że będę miała oczy szeroko otwarte.

Wtedy go zobaczyłam. Z kępy napastliwego bluszczu sterczał jeden z tych starych, białych drogowskazów z nazwami miejscowości wyrytymi na drewnianych tabliczkach w kształcie strzałek. Napis na

nim informował: *Milderhurst, 5 km.*



Zatrzymałam samochód i jeszcze raz przeczytałam znak, czując, jak włosy jeżą mi się na karku. Odezwał się we mnie jakiś szósty zmysł i w tym samym momencie powróciło mgliste wspomnienie, które usiłowało się przebić z głębi mojej podświadomości od lutowego epizodu z zaginionym listem mamy. Wsiadłam z samochodu jak we śnie i ruszyłam w kierunku, który wskazywała tabliczka. Miałam uczucie, że patrzę na siebie z boku, prawie jakbym wiedziała, co tam znajdę. Może zresztą tak było.

Niecały kilometr dalej, dokładnie w miejscu, gdzie ją sobie wyobrażałam, wyrastała z gąszczu jeżyn wysoka żelazna brama. Wielkie skrzydła przechylały się na różne strony i opierały o siebie nawzajem, jakby wspólnie dźwigały ciężkie brzemię. Na ścianie małej kamiennej stróżówki wisiała zardzewiała tabliczka z napisem *Zamek Milderhurst*.

Z sercem walącym w piersi przeszłam na drugą stronę drogi. Chwyciłam obiema rękami metalowe pręty, poczułam pod palcami zimne chropowate żelazo i powoli oparłam o nie czoło. Podążyłam wzrokiem za krętym żwirowym podjazdem, który biegł pod górę, aż minął mostek i zniknął za lasem.

Otoczenie było piękne, zielone i melancholijne, ale to nie od pięknego widoku zaparło mi dech w piersiach, tylko wskutek nagłej pewności, która uderzyła mnie jak obuchem, że już tu kiedyś byłam, że stałam przed tą bramą i zaglądałam między prętami do środka, obserwowałam ptaki latające niczym skrawki nocnego nieba nad zjeżonym lasem.

Wokół mnie migoczące fragmenty układanki wpadały na swoje miejsca, miałam uczucie, jakbym wkroczyła w rzeczywistość utkaną ze snu, jakbym wróciła w czas i przestrzeń swojego dzieciństwa. Zacisnęłam palce na prętach i moje ciało rozpoznało ten gest. Już to kiedyś robiłam, pamiętała to skóra na moich dłoniach. Ja również pamiętałam: słoneczny dzień, ciepły wietrzyk figlujący z rąbkami mojej najlepszej sukienki, wysoki cień mamy widziany kątem oka.

Spojrzałam na nią, obserwowała zamek, daleki ciemny kształt na horyzoncie. Było mi gorąco, chciało mi się pić, pragnęłam wykapać

się w zmarszczonej wodzie stawu, który leżał za bramą, pływać z kaczkami i pardwami, gdzie ważki kłuły powietrze w trzcinie porastającej brzegi.

– Mamusiu – powiedziałam wtedy, lecz ona milczała. – Mamusiu?

Odwróciła głowę i w pierwszej chwili jej oblicza nie rozświetlił żaden błysk, który by świadczył o tym, że mnie poznaje. Jej rysy układały się w wyraz twarzy, którego nie rozumiałam, jakby była kimś obcym, a jej oczy skrywały nieznane mi tajemnice. Teraz znam słowa na opisanie tej dziwnej mieszaniny uczuć – żal, tęsknota, wzruszenie – wtedy jednak żadnego z tych pojęć nie rozumiałam, a słowa mamy niczego nie wyjaśniły.

– Popeliłam błęd. Nie powinnam tu była przyjeżdżać. Już za późno.

Zanim zdążyłam zapytać, o czym mówi, złapała mnie za rękę i pociągnęła tak mocno, że zabołało mnie ramię. Przeszliśmy na drugą stronę drogi, gdzie stał zaparkowany nasz samochód. Poczułam delikatny aromat jej perfum spotęgowany przez upał i zmieszany z nieznajomymi zapachami wsi. Uruchomiła silnik i pojechałyśmy. Obserwowałam parę wróbli za oknem, kiedy usłyszałam ten sam niesamowity zdławiony odgłos, który wydał jej się z gardła na widok listu od Juniper Blythe.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).